

Materiały

BURMISTRZ Z DARŁOWA

Fragmety wspomnień Stanisława Dulewicza, laureata I nagrody w konkursie na „Pamiętnik osadnika Ziemi Odzyskanych“, zorganizowanym przez Instytut Zachodni w 1957 roku¹.

Targ niewolników²

Na Ziemi Odzyskanej wraz z dwoma dorosłymi córkami: Anną i Marią-Weroniką oraz z synem Andrzejem przybyłem dość wcześnie, gdyż w maju 1944 r., skierowany na prace rolne do Darłowa w powiecie Sławno w województwie koszalińskim przez niemiecką administrację obozu koncentracyjnego w Pile, po uprzednim pobycie w obozie przejściowym w Poznaniu.

Wraz ze mną przybyła dość znaczna gromada Polaków z województwa pomorskiego, licząca około setki osób, a składająca się z mężczyzn, kobiet i młodzieży obojga płci w różnym wieku.

Jechaliśmy pociągiem w bydłych wagonach pod eskortą 6 żołnierzy i wachmistrza żandarmerii, który wiozł ze sobą dane personalne dotyczące każdej jednostki naszej grupy, na którą w „Arbeitsamcie“ w Darłowie oczekiwali okoliczni bauerzy, którzy potrzebowali rąk do pracy na terenie swoich gospodarstw.

W połowie drogi z Piły do Darłowa eskorta wojskowa opuściła nas, a wachmistrz żandarmerii mnie jako dolmetscherowi, znającemu język niemiecki, wręczył personalia całej grupy polskiej, polecając mi, bym je doręczył na dworcu w Darłowie żandarmom czekającym na nasze przybycie.

Musiałem podjąć się tej roli, choć byłem zupełnie wyczerpany z sił fizycznych po prawie tygodniowej głodówce w obozie i krwawej dysenterii, która tak mnie osłabiła, że gdy iść, ani na nogach utrzymać się nie mogłem, wniesiono mnie na noszach służących do przenoszenia zmarłych do trupiarni, do wagonu kolejowego. Gdybym w takim stanie mego zdrowia pozostał bodaj jeszcze dzień w obozie, nosze, na których odniesiono mnie do pociągu, niewątpliwie wyrzuciłyby i moje zwłoki na co dzień większą stertę nieboszczyków.

W obozie bowiem w Pile ludzie ginęli jak muchy. Ileż razy widziałem pędzonych, jak bydło na rzeź, do obozu mężczyzn o herkulesowej budowie ciała, a mimo to po krótkim czasie pobytu w tym piekle wszelkich udręk, ciała ich okaleczone i zniekształcone torturami i razami oprawców obozowych, powiększyły liczbę zmarłych. Słabszej konstrukcji fizycznej kobiety i dzieci w najohydniejszych warunkach zdrowotnych, w straszliwej ciasnocie (w baraku na 60—90 ludzi umieszczono zdrowych i chorych, kobiety i dzieci, mężczyzn — do 600), w powietrzu wypełnionym zaduchem, miazmatami różnych chorób,

¹ Wspomnieniami St. Dulewicza Redakcja „Przeglądu Zachodniego” rozpoczyna druk serii fragmentów pamiętników nadesłanych na konkurs, jako materiału do dziejów najnowszych Ziemi Zachodnich.

² Wyboru fragmentów dokonała i tytuły rozdziałom nadała redakcja „Pamiętnika Osadnika Ziemi Odzyskanych”.

a nawet ekskrementami, ginęły masami. Śmierć zbierała swe pokosy obficie, gdyż odżywianie więźniów nie tylko bardzo skąpe i niewystarczające dla wegetatywnej egzystencji, było pozbawione jakiejkolwiek organizacji, która zapewniłaby każdej jednostce przepisowe racje. Zanim wyznaczeni do przyniesienia kotłów z pożywieniem więźniowie przynieśli posiłek, na który i pies by się nie złakomił, — zgłodniały tłum, bez względu na kopniaki lub uderzenia pałek gumowych, łamał szeregi kolejki i w masie rzucał się na kotły, przewracał niosących i kotły i chwycił zmieszana z ziemią żywność. Wśród takich okoliczności nie zawsze obozowa racja dochodziła do mnie. Gdyby dzieci moje nie zatroszczyły się o mnie, niewątpliwie umarłbym śmiercią głodową.

Świadomość faktu, że w taki niezwykle sposób wyrwałem się z trojgiem dzieci z obozu śmierci, że jadę w nieznaną i że przyszłe warunki życia nie mogą być gorsze od tych, z których wyszedłem z obozu, wzmocniły mnie o tyle na duchu, że wytrzymałem trudy podróży, tym bardziej że moi współtowarzysze niedoli wzmocnili me siły w drodze, dzieląc się ze mną i moimi dziećmi skąpymi swymi zasobami żywności.

Wreszcie pewnego dnia w końcu maja 1944 r., w godzinach popołudniowych przybyliśmy do Darłowa. — Na nasze przybycie oczekiwało paru żandarmów. Jeden z nich odebrał ode mnie cały plik personaliów, po czym czwórkami przeprowadził nas ulicami miasta w stronę rynku, w którym znajdował się urząd pracy (*Arbeitsamt*).

Nie zapomnę nigdy obrazu, jaki roztoczył się tu przed moimi oczami. Obok urzędników „*Arbeitsamtu*“ grupa polska, umęczona nie tylko perypetiami podróży, ale i straszными przeżyciami obozu, z prerażeniem w oczach zobaczyła gromadę kilkudziesięciu baueroów, którzy traktując nas jako „*polnisches Vieh*“, oglądali każdego Polaka indywidualnie, badając siłę mięśni rąk, zaglądając w oczy i badając stan uzębienia. Nie obeszło się oczywiście przy tym bez dość mocnego poklepywania mężczyzn i obmacywania kobiet zwłaszcza młodszych, na oczach swych mężów, ojców lub braci.

W ten sposób wybrana jednostka polska, bez względu na węzły rodziny, do której należała, była od niej odrywana przez brutalnego bauera, który nie pozwalając nawet na pożegnanie się wybranego robotnika z resztą swej rodziny, wręczał urzędnikowi „*Arbeitsamtu*“ 20 RM jako kosztu transportu pracownika polskiego, kładł tłustą łapę na jego ramieniu i popychał go w stronę swego wozu, by zabrać nowego robotnika do swego gospodarstwa.

Cała ta manipulacja była dokonana przy akompaniamencie rozdzierających serce krzyków, płaczów i spazmów i do złudzenia przypominała tragiczne obrazy z życia Murzynów z powieści „*Chata wuja Toma*“, gdyż tak, jak w tej powieści na targowisku żywym towarem w sposób nieludzki odrywano mężów od swych żon, a dzieci od swych rodziców, przy równoczesnym opłacaniu kosztów transportu, co wyglądało na wrzucenie ceny nowego niewolnika.

Trudno wprost uwierzyć, że tego rodzaju sceny rozgrywały się w miejscowościach III Rzeszy w czterdziestych latach XX wieku.

Moja rola tłumacza przy tych koszmarnych transakcjach była nad wyraz i bolesna, i trudna. Rozdzielanym przemocą członkom rodzin, nie znającym języka niemieckiego, musiałem tłumaczyć, co się z nimi dzieje, nie mogąc rozdzielać nawet zaopatrzyć w adresy tych dziwnie brzmiących miejscowości, do których bywali uprowadzani.

Nieszczęście rozbicia rodzinnego, spadające jak grom na ojców, matki, synów i córki, stało się też i moim udziałem. Najpierw jakaś ruda Niemka porwała mi najstarszą córkę — Hanię, później czerwony jak burak ówkiłowy „bauer“ z siwiejącymi włosami zabrał mi Weronikę i nawet nie wiem, kiedy zabrano mi syna — Jędrka, liczącego ledwie 13 lat. Stało się to tak szybko, że nawet nie mogłem ucałować dzieci, co do których nie miałem najmniejszej pewności, czy je znajdę i zobaczę jeszcze w swym życiu.

Na placu targowiska ludzkiego, w państwie „kulturträgerów“ i pełnego tupetu „Herrenvolku“, z gromady polskiej liczącej blisko sto osób, zostałem w dość obszernej sali „Arbeitsamtu“ jedynie ja sam — bezsilny łachman ludzki, przeraźliwie tragiczny i ledwie żywy Piotrowin — kupka kości, bezcielesna jakaś istota odziana ludzką skórą. Jak Słowackiego „Ojciec Zadżumionych“ po stracie wszystkich dzieci, niezdolny nawet do wydania jęku, nie mogący nawet zapłakać, stałem na środku sali tego przedziwnego urzędu pracy już nie jako człowiek, lecz jak jakiś nikomu niepotrzebny przedmiot, nadający się jedynie do wyrzucenia na śmietnik. Oczy kilkudziesięciu bauerów niemieckich prześlizgiwały się po nędzy mojej postaci, lecz niczyja ręka nie szarpnęła mnie brutalnie za plecy, by porwać mnie tak, jak to robiono z innymi.

Lecz oto drzwi wejściowe otwiera czyjaś ręka i koścista, wydłużona, lecz dobroduszną twarz Niemca staje przed biurkiem kierownika biura.

„Wo sind neue polnische Arbeiter?“ — „Alle sind schon weg und nur dieser ist geblieben“.

Był to, jak później się dowiedziałem, Paul Neitzke, mający swe gospodarstwo w Darłowie przy zrosie wiodącej w kierunku powiatowego miasta Sławna. — Biedak! Spóźnił się na czas targów niewolniczych. Potrzebował tego parobczaka i sądził, że ze znacznej ilości Polaków przybyłych do tego miasta, na pewno dobierze sobie odpowiedniego. Czekał go zawód. Klnąc pod nosem zabierał się już do odejścia, gdy jeden z urzędników, wskazując na mnie, powiedział:

„Und doch ist noch Einer“!

Wówczas i na moim ramieniu wsparła się ręka Neitzkego. Odwrócił mnie twarzą ku sobie, ujął dość mocno pod brodę i patrząc w moje przemęczone oczy, jakby pragnął wysondować bodaj cień możliwości siły fizycznej, rzekł:

„Ich brauche doch einen starken Knecht und dieser Kerl...“

Nie dokończył zdania, a nie ukrywana ironia, połączona z pogardliwym gestem zwróconym w moją stronę, aż nadto wyraźnie wskazywała, że nie ma on za co płacić 20 RM.

Neitzke, nie mając możliwości wyboru, musiał wreszcie ukontentować się moją nikczemną osobą. Polecił mi on iść przed sobą i wskazując mi furę, zaprzęzoną w parę koni, kazał wejść na wóz, lokując mnie na siedzeniu obok siebie.

Dzień wyzwolenia

Równocześnie z łoskotami szybko do nas zbliżającej się wojny przelatywały nad nami coraz częściej eskadry powietrzne, a wówczas do wybuchów dział i jazgotu karabinów maszynowych dołączała się kakofonia potępieńczego wycia syren.

Na ten czas wielkiej grozy niemieccy mieszkańcy miasta pochowali się w mysie nory, nie opuszczając niemal swoich schronów. Przez ulice mknęły tylko samochody wojskowe. Przy skrzyżowaniu ulic, w narożnikach domów kręciły się gromadki żołnierzy, obsługujących swoje cekaemy, które co pewien czas

ostrzeliwały okolice dworca. Wśród ujadania ręcznych i maszynowych karabinów coraz bliżej rozlegał się bas kanonady armatniej.

Noc z 6 na 7 marca, noc ciemną i niespokojną, mieszkańcy miasta spędzili w licznych schronach, z których nawet nosa nie wystawiali na świat Boży. Wśród mroków tej nocy, rozświetlonej słabym blaskiem gwiazd, po ulicy Zamkowej kręciłem się niemal sam z 13-letnim synkiem Jędrkiem. Mróz silny szczypał nam twarze i uszy, lecz my obaj podnieceni, emocjonowani niezwykłością sytuacji, woleliśmy marznąć, byle widzieć i wiedzieć, co się dzieje dookoła nas. Było to z mej strony wielkim nierozsądkiem, gdyż zbłąkane kule karabinowe mknęły i nieraz złowrogo zafiukały koło naszych głów od strony ul. Chopina.

... Lecz oto powietrzem wstrząsnęła silna detonacja. Wybiegłem z Jędrkiem na ul. Zamkową, przyklepiliśmy się obaj w załamaniu ulicy do ścian domów, obserwując i nad słuchując, co się działo na głównej ulicy, idącej od dworca kolejowego ku rynkowi. A tam rozgorzała na dobre walka. Ogień karabinów maszynowych skierowany w dół ulicy coraz bardziej wzbierał na sile.

W pewnym momencie osłabł, odezwał się na krótko jeszcze parę razy i najbliższe gniazdo karabinów maszynowych, umieszczone obok dzisiejszej cukierni „Szarotki“, zamilkło. Obaj z synkiem wychyliliśmy głowy z załomu, by zaobserwować, co się stało.

„Tatusiu — pyta Jędrak — gdy zbliżą się do nas Rosjanie, co zrobić i jak ich przywitać?“

„Trzeba — odparłem — podnieść ręce do góry i krzyczeć jak można najgłośniej: „Zdrastwujcie, towarzysze! Ja Polak!“ Osłonięci występem murów widzieliśmy cofających się Niemców w kierunku dzisiejszej ulicy Obrońców Stalingradu. Nie wszyscy jednak zdołali się szczęśliwie wycofać, gdyż grupka żołnierzy niemieckich licząca od 8—9 osób rzuciła broń na ziemię, uniosła „Hände hoch“ trwając w tej pozycji przez pewien czas.

A oto u wylotu ulicy Zamkowej w szarzyźnie ustępującej nocy zaroił się mrowiem tłum ludzi w długich brązowych szynelach z okrągłymi futrzanymi czapkami na głowach, z bronią gotową do strzału.

Byli to żołnierze radzieccy.

Ogarnęli oni szybko poddających się Niemców, po czym długa kolumna radziecka przy skrzyżowaniu ulic podzieliła się na trzy części, z których jedna zapuściła się w głąb Kaiser-Wilhelmstrasse przemianowanej później na Obrońców Stalingradu, druga, środkowa, ruszyła w górę ku rynkowi ulicą Powstańców Warszawskich, a trzecia skierowała się w głąb ul. Zamkowej.

Zanim zorientowałem się, co się stało, Jędrak mój z podniesionymi rękoma i z wołaniem „Zdrastwujcie, towarzysze!“ wybiegł naprzeciw posuwającemu się ku nam oddziałowi, który, czy nie dosłyszał go, czy nie spostrzegł pozdrowienia, czy nie dostrzegł podniesionych rąk chłopca, dość, że rozległ się krótki trząsk salwy w stronę Jędrka, po której syn mój upadł na bruk. — Skurczyło się z przerażenia serce moje, że na progu wolności zabito mi jedyne syna. Nie bacząc już na osobiste niebezpieczeństwo, z podniesionymi w górę rękami, wysunąłem się i ja na środek ulicy, wołając, jak można najgłośniej: „Nie strielat! Ja Polak!“

Zanim zbliżyłem się do oddziału wojskowego, mając oczy głównie zwrócone na Jędrka, z radością przekonałem się, że chłopakowi nic się nie stało, gdyż podniósł się z ziemi o własnych siłach. Okazało się, że zanim padła salwa, Jędrak

potknął się o jakiś „koci łeb“ w bruku, rozciągnął się jak długi — i upadek ten w samą porę ocalił go przed śmiercią.

Już w innym usposobieniu niż przed chwilą, z rozradowaną twarzą, witałem po rosyjsku radzieckich, jak mniemałem, żołnierzy. Widocznie w intonacji głosu i w sposobie wyrażania myśli musiało wprawne ucho wyczuć we mnie cudzoziemca, gdyż sierżant oddziału o pięknej, jak malowanie twarzy, zaróżowionej od mrozu, niespodzianie rzekł do mnie po polsku:

„Niech się pan nie wysila, by mówić do nas po rosyjsku, gdyż ten oddział żołnierzy, jaki pan widzi — to wszystko Polacy, przeważnie warszawiacy z pochodzenia“.

I w bliskim sąsiedztwie domu Frau Lignitz telegraficznym stylem prowadzona rozmowa w języku polskim trwała przez krótką chwilę.

Komendant oddziału pytał mnie, czy nie ma gdzie jakowej zasadzki niemieckiej i czy są i gdzie poukrywani Niemcy.

Poinformowałem go, że w najbliższym moim sąsiedztwie poza kobietami, dziećmi i starcami nie ma ani żołnierzy niemieckich, ani cywilów, którzy mogliby być niebezpieczni i że większość z nich przebywa w dużym podziemnym schronie, z którego od dwóch dni niemal się nie wydalali.

... Zebrani u mnie Polacy z rozradowanymi zdziwieniem twarzami, słysząc rozmowę polską żołnierzy w umundurowaniu radzieckim, przyjęli tych żołnierzy z wylewną serdecznością, lecz niedługo cieszyli się nimi, gdyż poznawszy ścisłość relacji, udzielonych przeze mnie komendantowi, powrócili do oddziału, a z nimi i mój Jędrzek, który wyniósł 2 butelki z wódką, które wręczył dowódcy.

Butelki te, puszczone w obieg, wędrowały od ust do ust żołnierskich i po krótkiej chwili rozległ się brzęk rozbitych butelek, gdy z nich już całą zawartość wytrąbiono.

Oddział naszych wybawców na chwilę zatrzymany przeze mnie ruszył dalej, by opanować polecony mu rewir miasta, a kilka głosów żołnierzy polskich zapowiedziało u mnie swoją wizytę po wykonaniu zadania bojowego.

Ja z Jędrkiem powróciliśmy do mieszkania, gdzie do białego dnia szaleliśmy wszyscy z radości, że tak długo oczekiwany dzień wolności nareszcie do nas zawitał i że mieliśmy szczęście doczekać się go.

I z radosnych serc wyrwał się mazurek Dąbrowskiego: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy“ — Boże drogi! Chyba z zebranych u mnie Polaków żaden z nas nie śpiewał dotąd w życiu hymnu narodowego z taką siłą uczucia i entuzjazmu, jaki ogarnął nas wszystkich. W tym rozśpiewaniu się naszym wyrzucaliśmy z serc i myśli wszystkie nasze bóle, żale, poniżenia, pogardy, w jakiej żyliśmy u Niemców. Cały kompleks niższości, do jakiego nasi wrogowie chcieli nas przyzwyczaić, by ugruntować w nas równocześnie gwałtem i terrorem szacunek dla zwycięskiego narodu panów, runął w naszej radosnej świadomości, jak domek z kart. Choć obraz najbliższego ukształtowania się naszego jutra oparty był jedynie na rachubie prawdopodobieństwa, śpiewaliśmy radośnie, a echo naszej pieśni gromko rozbijało się echem w ulicy: „Marsz, marsz Dąbrowski, za twoim przewodem złączym się z narodem“.

Francuzi nie pozostawali w tyle za Polakami. Ledwie przebrzmiał nasz mazurek, zaczęli z niemniejszym od naszego zapalem śpiewać swoją Marsylianke. Oblicza ich spowaźniały i w postawie na baczność śpiewali całym rozradowanym sercem, gdy wyrzucałi z siebie: „Formez vos bataillons“, czuło się w tembrze

głosu śpiewaków, że po tym co przeżyli w niewoli niemieckiej, już by nie potwórzyła się w ich historii hańba kapitulacji i nie oddaliby obronnej linii Maginota, gdyby kiedyś przyszło do boju z tym samym wrogiem.

W roli tłumacza Komendy Wojennej

— W związku z rozkazem Wojennej Komendy wydanym do ogółu mieszkańców, ... pospieszyłem i ja z trojgiem dorosłych swych dzieci do zameldowania się przedstawicielom władzy radzieckiej. Włożyłem na siebie dawniejsze, mocno podniszczone ubranie — i stanąłem w biurze Komendy Wojennej, znajdującej się u wylotu ulicy Powstańców Warszawskich w sąsiedztwie rynku, mocno zarośnięty, gdyż na to konto nie goliłem się przez parę dni.

Mimo niepozorności mej postaci przedstawiciele władzy radzieckiej zwrócili na mnie baczniejszą uwagę, gdyż, zapytany do jakiej należę narodowości, oświadczyłem po rosyjsku, że jestem Polakiem, który po odbyciu lagrów niemieckich w Poznaniu i Pile wraz z trojgiem dzieci, znajdujących się teraz przy mnie, dostałem się w końcu maja 1944 roku do pracy fizycznej w Darłowie.

Zwykle przy podawaniu personaliów znajdował się obok urzędnika przeprowadzającego rejestrację również i „pieriewodczik” — tłumacz, który stawał pytaniami w niemieckim języku, gdy chodziło o Niemca, a następnie podawał imię, nazwisko, wiek, zawód, miejsce zamieszkania rejestrowanej osoby w języku rosyjskim, skrybie, który to notował.

Co do mnie potrzeba pomocy tłumacza była zbyteczna, wobec czego wojskowy pisarz Wojennej Komendy stawiał mi pytania sam bezpośrednio. Gdy mnie zapytano, kim jestem z zawodu, odparłem, że jestem nauczycielem. Dalsze pytania dotyczyły moich umiejętności i znajomości obcych języków. Zgodnie z prawdą oświadczyłem, że poza ojczystym językiem polskim, władam rosyjskim, niemieckim, francuskim, łaciną i greką, znam również, choć niezbyt dobrze, język angielski.

Widocznie Rosjanom tego pokroju ludzi było potrzeba, gdyż zbliżył się do mnie oficer rosyjski i — kładąc mi na ramieniu rękę, nie pytając nawet, czy na to się godzę, powiedział:

„Tiepier wy u nas budiete rabotat' pieriewodczikom“.

Zanotował sobie mój adres i polecił mi zjawić się w biurze Komendanta Wojennego w godzinach popołudniowych tegoż samego dnia.

*

... Któregoś dnia ujrzałem w dowództwie sztabu delegację złożoną z kilkunastu wybitniejszych przedstawicieli ludności, między którymi było paru rajców niemieckiego magistratu oraz dwóch duchownych. Jednym z nich był pastor wyznania augsburskiego — Mohlzahn, a drugim kapłan wyznania rzymsko-katolickiego — ks. Kruze. — Przybyli oni do generała Cziudiesowa z prośbą, by zechciał wziąć cywilną ludność niemiecką pod opiekę. W imieniu delegacji zabrał głos pastor Mohlzahn, wygłaszając treść petycji w języku niemieckim. Z fizjonomii generała znać było, że nie rozumie wcale tego, co doń mówiono. Poleciał on, by mnie przywołano jako tłumacza. Pastor ponownie zabrał głos, wyjaśniając sprawę i powód przybycia delegacji. — Z kolei ja zacząłem przekładać treść petycji na język rosyjski, a gdy skończyłem, spojrzałem na twarz generała.

Była ona purpurowa z hamowanego gniewu. Wreszcie przemówił, a ja, jak mogłem najszybciej, notowałem treść jego odpowiedzi.

— „Przyszlście — mówił podniesionym głosem — skarżyć się.

— A czy wy, którzy przyszlście skarżyć się, czyście pomyśleli jakie morze łez, krwi wylali na ziemi Związku Radzieckiego wasi bezliotni żołnierze? Ile popełnili oni gwałtów na kobietach radzieckich, ile dokonali zgrozę budzących zbrodni na ciele mojego narodu, ile spalili miast i wsi — i zburzyli dzieł kultury, ile popełniono grabieży i zabrano łupów, którymi wypełniona była Rzesza Niemiecka?

— I kto dokonał tych najniecieńszych czynów, na których przedstawienie w całej grozie brak nawet słów w mowie ludzkiej? — Dokonali tego wasi synowie, bracia, którzy mieli nadto czelność głosić, że są roznośicielami doskonalszej od naszej kultury. To wasi żołnierze, napadłszy niespodzianie na pokój miłujący Związek Radziecki, spowodowali śmierć już nie setek tysięcy, lecz milionów naszych żołnierzy, gdy się tego wcale nie spodziewali i gdy do wojny nie byli przygotowani. — Policzcie dalej, ile żon naszych żołnierzy zostało wdowami, ile dzieci — sierotami, ile milionów ludzi naszych zamieniliście w nieszczęśliwe kaleki na całe życie! — Wasze armie nie powstrzymały się przed żadną zbrodnią, na narodach radzieckich popełnioną. Nie dość, żeście zabili miliony żołnierzy, — ale nadto wypowiedzieliście bezlitosną wojnę kobietom, dzieciom, starcom, bohaterskiej komsomolskiej naszej młodzieży za to, że śmieli oni podnieść rękę ku obronie ojczystego kraju.

I grzmiała mowa generała, pełna wzrastającego gniewu, gdy pamięć przywodziła mu obrazy najwyższej grozy i mąk ludzi żywcem palonych w budynkach i szopach, — studni wypełnionych ciałami żywych ludzi i tych szubienic, którymi wypełnili każdy zakątek naszej ziemi.

— A teraz, sprawiedliwości dziejowej stało się zadość.

Oświadczam wam, że wysłę na całe miasto zbrojne patrole, które nie dopuszczą do szerzenia niepokoju.

Idźcie do domów swoich i starajcie się ściśle wykonywać zarządzenia nasze.

Niewiele delegaci mogli zrozumieć ze słów generała Cziudiesowa, wnioskując jeno z wyrazu jego twarzy i grzmiącego jego głosu, że się na nich gniewa. — Co do mnie, to notowałem przemówienie całe, by je przełożyć na język niemiecki, a gdy je skończyłem wygłaszać, cała delegacja skłoniła się głęboko przed generałem i oficerami, którzy byli obecni w dużej konferencyjnej sali.

Jeden z niemieckich radnych w imieniu całej delegacji wyraził podziękowanie generałowi za obietnicę roztoczenia opieki nad cywilną ludnością miasta i zarazem podkreślił, że przestrzegać będą ściśle zarządzeń wojskowych, jakie będą wydane.

8 m a j a 1945

W międzyczasie, mimo rozpaczliwych wysiłków obrony, wewnątrz centralnych prowincji Rzeszy zmieniło się na jedno wielkie, zwichrzone walką pobojuwisko. Pierścień oblegający od strony zachodu, południa i północnego wschodu stawał się coraz bardziej zwarty i promień koła zbrojnego stawał się z każdym dniem krótszy i krótszy. — Potęga hitlerowska urągająca prawu, sprawiedliwości i wszelkim paktom i gwarancjom życia międzynarodowego, waliła się i kruszyła coraz

bardziej i opierając progres oblegających na zasadach już nie prawdopodobieństwa, lecz niemal na pewności, można było obliczyć dzień, w którym obrońcy Berlina zostaną przywaleni spękanyimi murami „wieczystej i nieprzemijającej“ wielkości, opartej na pysze, bezprawiu i megalomanii.

— Echa o tym, co działo się w Niemczech i świecie, docierały również do Darłowa, które żyło oczekiwaniem czegoś, co bezwzględnie nadejść musiało niedługo. Powszechnym pragnieniem gnębionych ludów Europy był jak najszybszy upadek Berlina.

— Wreszcie, mimo spodziewania się go, nagle nadszedł wielki, historyczny dzień klęski całkowitej, dzień bezwzględnej kapitulacji Niemiec, 8 maja 1945 r. —

Nad bezmiarem ruin Berlina, nad Bramą Brandenburską i gmachem Kancelarii Führera, wśród nieobjętych okiem dymów pożarów wielomilionowego miasta, wyznającego tylko prawo przemocy i pięści, załopotaly ręką zwyczajnych żołnierzy zatknięte sztandary radzieckie, polskie, francuskie, amerykańskie, angielskie.

... Już nie stugębna, lecz milionoustna fama rozbiegła się po globie całym, wieść przeradosna, zatykająca oddech w gardle, że koniec już rzeziom, koniec ludobójstwu, że zaczyna się nowa era Pokoju, Braterstwa narodów.

I Darłowo, zelektryzowane tą wieścią, całe zebrało się na rynku i w przyległych ulicach na wielki miting. Kto żyw spieszył, by docisnąć się najbliższemu mówcy, który aby móc być widzianym i dobrze słyszczanym przez zbitą ciżbę ludzką, wskoczył na zaimprovizowaną mównicę, którą była dość znacznych wymiarów — paka.

... Każde słowo mówcy (jednego z oficerów sztabowych), skandowane radością i entuzjazmem, odbijało się echem o ściany domów darłowskiego, niemieckiego do niedawna rynku, niosło się w głąb wypełnionych ludzkim mrowiem ulic — i gdy jeszcze jedno nie przebrzmiało, już było ścigane przez następne, jeszcze radośniejsze i biegło w świat daleki, głosząc *urbi et orbi*, że ostatni łeb wielogłowej hydry niemieckiej został odcięty; że jej macki zdruzgotane — i że odtąd w oceanie krwi milionów ludzi rodzący się nowy świat już nigdy nie pozwoli więcej na największe Bezprawie, któremu na imię — Wojna.

Nigdy nie zapomnę widoku obrazu, jaki w piękny, słońcem wlosny obłany dzień 8 maja 1945 r. raz na zawsze odbił się na kliszy mej pamięci.

Dzień ten, uświetniony echem salw honorowych, feerią różnokolorowych rakiet, wypisujących gejzerami i fontannami białosrebrnych iskier na coraz ciemniejszym nieboskłonie wieczoru sławę i moc zwycięskiego Związku Rad i jego wodza — generalissimusa Josifa Wissarionowicza Stalina — i właściwego bohatera tej wielkiej epopei — prostego, ofiarnego w trudzie, bohatera w walce, szafującego obficie swym życiem prostego żołnierza radzieckiego, odzianego w dziurawy od kul i splamiony własną krwią szynel, utkwiał w mej pamięci również i dlatego, że po raz pierwszy w czasie tej bezprzykładnej krwawej wojny spotkałem się oko w oko z przedstawicielami nowej polskiej rzeczywistości, z przedstawicielami Polski Ludowej, której pełnomocnik na powiat Sławno w województwie koszalińskim — ob. Józef Czernecki — przysłał dwu młodych delegatów już jako pierwszy starosta zaczynający na ziemiach „dzikiego Pomorza“ historię polskiej administracji. — ... Obaj delegaci jako honorowi goście radzieccy wzięli udział w uroczystościach odbywających się w Darłowie z racji zakończenia wojny.

lewki do jednej z dziewcząt polskich, że należało się liczyć z faktem, że i trzecie małżeństwo mieszane polsko-francuskie stanie się niebawem rzeczywistością.

Zatem wieczorem pamiętnego już w historii święta dnia 8 maja 1945 roku było w mym mieszkaniu huczno i gwarно.

... Któryś z Francuzów przyniósł z sobą akordeon, na którym był mistrzem nie lada. Popłynęły zatem wśród nocnej ciszy i skoczne pieśni francuskich żołnierzy i smętne a urocze tanga, szansonetki bulwarów paryskich, — a wśród pieśniarzy francuskich zieć mój — Pierre Willier, chłop o herkulesowej niemal budowie, a rozśpiewany i zawsze wesół jak szczygieł, przywodził innym Francuzom, którzy bez przygotowania i prób harmonijnymi swymi głosami mogli zakasować niejednego zawodowy chór rewelersów. Dużym powodzeniem cieszyła się wojskowa piosenka o „łaskawości“ Madelon, a u Polaków — pieśń o żołnierzu-tułaczu, który znalazł w marszu serce

— „Nad serduszkiem się uzalił,
Więc je do plecaka wsadził
I.... pomaszerował dalej.

A czyż mogłaby się podobać piosenka, w której nie byłoby wzmianki o dziewczynie, o jej gorącej miłości?

Więc każdy z nas, bez względu na to czy miał „głos“, — czy nie miał, śpiewał, owinąwszy całą jaźń swoją i pragnieniem, i tęsknotą, w miesiącu, o którym w nieśmiertelnej swej trylogii H. Sienkiewicz powiada, „że wiór do wióra wolę bożą czuje“, śpiewał, a śpiewał rozgłośnie:

„Tę piosenkę, tę jedyną,
Śpiewam dla ciebie, dziewczyno.
Może także jest w rozterce
Zakochane twoje serce.
Może cierpi, może szlocha,
Może potajemnie kocha...
Tę piosenkę, tę jedyną
Śpiewam dla ciebie, dziewczyno“.

Jak zostałem burmistrzem...

— Jednym z zasadniczych obowiązków ob. Czerneckiego było założenie sieci władz administracyjnych w Darłowie — oraz w Polanicy. O tym, by stworzyć administrację gminną, na razie mowy nie było, gdy powiat nie miał jeszcze polskiej ludności na wsiach, a te znów były zajęte przez rolników niemieckich.

— Przy takim układzie stosunków Darłowo, ze względu na stosunkowo dużą ilość Polaków w nim przebywających, posiadanie portu rybackiego i swoje przemysłownienie, wysunęło się na pierwszy plan w powiecie. Należało pomyśleć o nadaniu miastu burmistrza, który znałby doskonale topografię miasta i jego okolic, stosunki, jakie panowały w mieście za czasów niemieckich i pod rządami władz radzieckich wojskowych; który znałby obok polskiego język rosyjski i niemiecki i byłby obdarzony energią i znajomością zasad administracji polskiej.

Gdy nieskrępowana radość powszechna wyładowująca się w sutych biesiadach, tańcach pod gołym niebem oraz w libacjach dla uczczenia zwycięstwa z racji nadchodzącej nocy już się skończyła, obaj delegaci, pytając w sztabie 26 dywizji białoruskiej o to, czy są w Darłowie jacy Polacy, — dowiedzieli się o mnie od Rosjan, którzy poinformowali ich o charakterze mej działalności w tym mieście, jak również podali im adres mego mieszkania nad Wieprzą w bliskim sąsiedztwie elewatorów zbożowych.

— Obaj rodacy w mundurach polskich żołnierzy po odbyciu warty honorowej w czasie mityngu, odszukali mnie w tłumie rynkowego zgiełku, przedstawili mi się jako delegaci pierwszego starosty polskiego w Sławnie, prosząc mnie, bym udzielił wyczerpujących wiadomości o liczbie polskich rodaków oraz o podanie ich przydatności dla celów administracji polskiej w naszym mieście.

— Gdym po raz pierwszy na ziemiach Pomorza Zachodniego dowiedział się o fakcie przybycia do Sławna pierwszego pełnomocnika Rządu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polski Ludowej w osobie ob. Józefa Czerneckiego, będącego uprzednio inspektorem szkolnym we Lwowie, ogarnęła mnie taka radość, że wrażenie tej chwili, w której zakomunikowali mi, że ziemia, na której za czasów niemieckich tyle wycierpiałem i na której zapracowywałem się dotąd dla radzieckich władz wojskowych jako kombatanów, przyjaciół i sprzymierzeńców Narodu Polskiego, stała się polską, pozostało mi w pamięci tak żywe, jak gdyby rzecz, o której teraz opowiadam, nie działa się przed 12-tu laty, lecz wczoraj.

Sprawozdawczego materiału dla delegatów pierwszego polskiego starosty w Sławnie miałem tak wiele, że wydało się wprost niepodobieństwem, bym kondensując zdarzenia, fakty, charakteryzując ludzi i rzeczy, mógł w sposób lapidarny podać całe bogactwo informacji dotyczących spraw związanych z Darłowem i jej obywatelami. — Chociaż delegaci mieli polecenie starosty, by ze zdobytych wiadomości wracali do Sławna jak najszybciej, zaprosilem obu sympatycznych rodaków do siebie, gdzie mieli możliwość zetknąć się bezpośrednio z wieloma moimi przyjaciółmi polsko-francuskimi, którzy i nowe moje mieszkanie nad Wieprzą, podobnie jak było i przy ul. Młyńskiej, uważali za „kwaterę główną“ licznej już kolonii polsko-francuskiej.

— Gdym zebranych licznie rodakom w moim mieszkaniu przedstawił charakter delegatów w mundurach polskich żołnierzy, radość nie miała granic. Goście nasi ze Sławna chcieli zdobyć jak najwięcej wiadomości o nas wszystkich w Darłowie, — my zaś bardzo długo oderwani od kraju, nieświadomi tego, co się w nim działo, łaknęliśmy wiadomości z kraju. — Wieść o tym, że u mnie przebywają przedstawiciele starostwa w Sławnie rozeszła się lotem błyskawicy po całej Polsce w Darłowie. Przybyli niemal wszyscy stale mieszkający w naszym mieście Polacy, a z nimi przybyła znaczna gromada Francuzów, którzy w symbiozie wspólnych interesów tak zżyli się z nami, że stanowili jakby gromadę polską, tym się tylko od nas różniącą, że posługiwali się makaronistycznym językiem francuskim, wtrącając do rozmowy konwencjonalne wyrazy z języka niemieckiego i straszliwie kalecząc piękną naszą mowę, gdy chcieli popisywać się wobec nas znajomością naszego języka macierzystego. Uważali się sami wobec nas za spowinowaconych z nami, boć przecież dwu spośród nich: Pierre Willier i René Morel pożenili się z Polkami — a trzeci Francuz Viellat tak smałił cho-

Zanim wyznaczono burmistrza, ob. starosta desygnował komisarycznego przedstawiciela starosty w osobie ob. Piotra Paula, studenta uniwersytetu w Poznaniu. Będąc dobrze poinformowany przez swych delegatów, którzy przybyli do Darłowa w dniu 8 V 1945 o układzie stosunków w tym mieście, ob. starosta Czernercki już nasłuchiwał się wiele o mnie, jak również i o tym, że cieszę się u wojskowych władz radzieckich dużym zaufaniem jako tłumacz w szefostwie sztabu, w Komendzie Wojennej oraz w biurze „ziarnoskładu“ Kuprianowa, gdzie przeprowadziłem organizację pracy w polach, ogrodach i elewatorach. — Aczkolwiek nie znałem się na administracji państwowej, ob. Czernercki uważał mnie jeszcze przed zetknięciem się ze mną jako predestynowanego na stanowisko pierwszego burmistrza w Darłowie.

... Jako wieloletni belfer w Lublinie nie miałem żadnego pojęcia o administracji i nigdy do tej pory nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym do tego się nadawać. Dlatego z miejsca odmówiłem przyjęcia tej godności, dodając nadto, że po rocznej pracy fizycznej u Niemców, po wyczerpującej pracy w paru instytucjach radzieckich jestem zbyt osłabiony, bym mógł się stać przydatnym staroście. Oświadczyłem nadto, że pożera mnie tęsknota za krajem, z którego byłem nagle wywieziony do 2 kolejno obozów koncentracyjnych niemieckich w Poznaniu i Pile.

Chciałbym sprawdzić, czy z dużej mej biblioteki, zawierającej wiele wartościowych książek oraz manuskryptów mojej poezji, której było ze 3 tomy, nie zostało co w Radziejowie Kujawskim, do którego chcę powrócić, aby później przenieść się do jednego z większych miast dla kontynuowania zawodu nauczycielskiego w szkolnictwie średnim.

Ale starosta zaczął mnie przekonywać, że moja ignorancja w zakresie administracji nie powinna mnie przerażać — bo i on — obecny starosta — jest również pedagogiem, który we Lwowie pełnił funkcję inspektora szkolnego, — a mimo to przejawiał całą dobrą wolę, gdy zaproponowano mu w Warszawie obecne stanowisko. Gdy chodzi tylko o administrację, to niewątpliwie poznam jej wszystkie arkana przez praktykę i robienie błędów, gdyż — dodał po łacinie:

„Blamando di-sci-mus“ — czyli uczymy się w ten sposób, — że się od czasu do czasu w czymś zblamujemy.

Poza tym dodał, że w obecnym układzie i na Ziemiach Odzyskanych nie powinienem odmawiać swej współpracy, gdyż mogę być w ten sposób najbardziej pożytecznym dla kraju.

Ostatni argument starosty osłabił moją odmowną decyzję. — Żyjąc przez lat 52, nigdy nie uchylałem się od pracy, na którą mnie było stać i pod tym względem przez prawie 19 lat mego pobytu w Lublinie nie szczeniłem swoich sił, pracując w 7 organizacjach społecznych i kulturalno-oświatowych. Nie odmawiając swej pracy prosiłem starostę, by mi dał z 10 dni do namysłu, a tymczasem chciałem przyjrzeć się urzędowaniu tymczasowego komisarycznego burmistrza w osobie Piotra Paula.

— Już w drugiej połowie maja 1945 r. złożyłem na ręce ob. starosty formalny wniosek o przydzielenie mi odpowiedniej funkcji w administracji i otrzymałem w odpowiedzi nominację na stanowisko burmistrza miasta Darłowa. — Ponieważ obecny Gmach MRN w Darłowie, będący gmachem magistratu niemieckiego,

był zajęty przez szefostwo sztabu 26 dywizji, — na magistrat miasta obrałem lokal dzisiejszego Banku Polskiego, leżącego w bezpośrednim sąsiedztwie poczty przy ul. Obróńców Stalingradu.

Spośród rodaków, mieszkających w Darłowie, wybrałem ludzi nadających się do pracy w poszczególnych referatach. W ten sposób zaczęły się me rządy pierwszego burmistrza miasta.

O kinie w Darłowie

Aby ożywić życie kulturalne Darłowa, którego mieszkańcy w tym czasie pragnęli z nawiązką powetować brak ich zupełny w okresie wojny, przemysliwałem wraz z Jasiem Lipińskim możliwość uruchomienia kina „Bajki“, które sąsiadowało z moim mieszkaniem. Mając lokal kina w bezpośrednim sąsiedztwie z moim mieszkaniem, wziąłem go pod opiekę przed zakusami szabrowników.

Gdyby poprzedni jego niemiecki właściciel nie zabrał czy też nie ukrył aparatury kinowej, to wobec kompletnie urządzonej widowni, kino mogło być w każdej chwili uruchomione, stwarzając dla Darłowa jeszcze jedną więcej atrakcję, która mogła przyciągać coraz to nowych osiedleńców.

W związku z zamiarem uruchomienia kina nawiedziła mnie refleksja co do zmienności losu, jakiemu podlegają i ludzie, i rzeczy. Niespełna przed rokiem, gdy z Jasiem Przybyszewskim i córką mą Niką chciałem po raz pierwszy w niemieckim Rügenwalde zobaczyć ciekawy film produkcji austriackiej, zostałem wraz z Jasiem rozpoznany w hallu kina jako Polak przez żandarma niemieckiego. Zamiast zobaczyć interesujący spektakl, — sam stałem się bohaterem jakże pożałowania godnego spektaklu. Ciężka łapa żandarma, tuż przed wrotami, wiodącymi do Sezamu, jakby kleszczami wpiła się w moje ramię, po czym z tłoku ludzi, cisnących się do sali, gwałtownie zostałem wyciągnięty jak zbrodzień na środek hallu i w obstrzale setek wrogich oczu musiałem oddać bilet żandarmowi, który po odebraniu również Jasiowi biletu, z miną dobroczyńcy wręczył gratisowo oba bilety-wstępu żołnierzom niemieckim, którzy ich jeszcze nie zdążyli nabyć w kasie kina. Lecz na tym nie skończyła się nasza przygoda, bo żandarm sięgnął do kieszeni po ołówek i bloczek, a po spisaniu protokołu, polecając nam obu zjawić się w żandarmerii następnego ranka dla zapłacenia grzywny po 20 RM., zarówno Przybyszewskiemu jak i mnie jako upominek pożegnany dał mocnego w bok kuksańca, że obaj z Jasiem wśród aprobaty i homeryckiego śmiechu przygodnej gawiedzi niemieckiej wyfrunęliśmy z kina jak wyrzuceni z procy. W taki sposób *deutsche Übermenschen* wobec Polaków dali wyraz wymowny wyższości swej kultury i miażdżącej pogardy wobec ludzi pracy, których jedyną przewiną było to tylko, że w oczach niemieckich mieli nieszczęście należeć do innej nacji, określanej z wyrazem jakiejś abominacji jako „die verfluchten Polen lub Polacken“. — I to w niespełna rok od tego przykrego przeżycia, które jaskrawo oświetla hańbę nietolerancji stosowanej wobec ludzi niemieckiego pochodzenia, budzący wstręt do niedawna w oczach Niemców Parias, w biegunowo przeciwnej roli gospodarza miasta, decyduje o uruchomieniu tego samego kina jako miejsca rozrywkowego nie tylko dla samych Polaków, ale dla wszystkich bez różnicy, którzy tylko zapragną skorzystać z kulturalnej rozrywki. — Że takiemu celowi służy obecnie kino w rękach polskiej

kinofikacji, najlepszym tego dowodem jest scena, na którą niejednokrotnie patrzyłem własnymi oczami przed rokiem. Oto kierownik PGR-u w sąsiadujących z Darłowem Pałcewicach, ob. Szczepan Chudziński, który przy pracach rolnych i gospodarczych posługuje się jedynie robotnikami fizycznymi pochodzenia niemieckiego, nie tylko dba o ich dobre wyżywienie i higienę ich mieszkań, ale co pewien czas w niedzielę przywozi do Darłowa, kupuje im bilety wstępu i sam w ich towarzystwie przygląda się filmowi. I wtedy, gdy patrzyłem na tego rodzaju obrazek, — czy chciałem lub nie chciałem, w myślach swych kojarzyłem moje sprzed dwunastu lat przeżycie ze scenami o tak wymownej treści, o jakich przed chwilą wspomniałem.

STANISŁAW DULĘWICZ

POWIAT LĘBORSKI

1. Ogólna charakterystyka powiatu

Powiat lęborski zajmuje północno-zachodnią część województwa gdańskiego. Jest to jeden z największych powiatów w województwie obejmujący powierzchnię 1144 km², co stanowi 10,5% całego obszaru województwa gdańskiego.

W gospodarce wojewódzkiej powiat lęborski odgrywa rolę poważną jako jedna z baz, które zaopatrują zespół miast portowych wybrzeża gdańskiego w artykuły rolnicze. Rozwinięty przemysł dostarcza ludności miejscowej a także na cele gospodarcze województwa szeregu artykułów, z których poza tym część idzie na eksport. Gospodarka rybna jest źródłem zaopatrzenia ludności w ryby i przetwory rybne, nadmorskie zaś położenie powiatu stwarza z jego niektórych terenów atrakcyjne ośrodki wczasowo-turystyczne w skali krajowej.

Powiat ma urozmaicony krajobraz. Obok zalesionych wyżyn występują tu piaszczyste wybrzeża z największymi w Polsce wydiami piaszczystymi i rozpościerają się ogromne jeziora, jak Łebskie, Sarbskie i inne, znajdują się w nim również rezerwy przyrody: Park Narodowy, bagna Gać, Charbrowo, mierzeja sarbska.

Obszar powiatu podzielić można na trzy rejony:

1. część północną, zajęta w znacznej części przez torfy i mursze, posiadająca korzystne warunki dla rozwoju hodowli ze względu na duży obszar łąk,

2. część środkową posiadającą gleby gliniaste i gliniasto-piaszczyste, które zaliczone być mogą do gleb średnich. Najważniejszymi roślinami uprawianymi w tym rejonie są: żyto, pszenica, len, owies i ziemniaki,

3. część południową, mającą gleby piaszczyste. Z powodu niekorzystnych warunków glebowych i klimatycznych dominującymi uprawami są tu tylko: żyto i ziemniaki.

Powiat lęborski zasobny jest w ropy ceramiczne, których pokłady znajdują się w Lęborku, Nowej Wsi i Lędziechowie, żwir i piasek, rozmieszczone w wielu miejscowościach powiatu. Stwarza to pomyślne warunki dla rozwoju przemysłu materiałów budowlanych. Znaczne pokłady torfu, szczególnie w dolinie Łeby, którego zasoby szacować można na 71 milionów m³, stanowią podstawę dla rozwoju przemysłu torfowego.

Lasy, przeważnie iglaste, zajmujące blisko 40 000 ha, czyli ok. 35% powierzchni powiatu, są podstawą dla rozwoju przemysłu drzewnego.

Jeziora, powierzchni ok. 3000 ha, eksploatowane przez Państwowy Zespół Rybacki, zaopatrują ludność w ryby słodkowodne.